

Natalia Szyszkowska

DWUNASTE PIĘTRO

Najdłuższa podróż życia z miejsca,
gdzie nie ma obietnic




AXIS MUNDI
WYDAWNICTWO

Natalia Szyszkowska

DWUNASTE PIĘTRO

Najdłuższa podróż życia z miejsca,
gdzie nie ma obietnic



AXIS MUNDI
WYDAWNICTWO



Natalia Szyszkowska

DWUNASTE PIĘTRO



Copyright © 2025 by Natalia Szyszkowska
Copyright for this edition © 2025 by Axis Mundi

REDAKTOR PROWADZĄCY: Marta Szelichowska

REDAKCJA: Iwona Hardej

KOREKTA: Katarzyna Szajowska

KOREKTA techniczna: Basia Borowska

PROJEKT OKŁADKI: Izabela Surdykowska-Jurek

ZDJĘCIE AUTORKI: Archiwum prywatne Autorki

Wydanie I

ISBN 978-83-8412-399-7

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część książki nie może być
wykorzystana bez zgody wydawcy.

Niniejsza powieść stanowi wytwór wyobraźni, a wszelkie podobieństwo do
osób żyjących lub zmarłych, wydarzeń i miejsc jest całkowicie
przypadkowe.



Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Weronika Panecka

Staruch nie lubił, kiedy go potrącali. Stał niemal cały czas w tym samym miejscu od rana do zmroku, oparty o ścianę jednego z przyszpitalnych budynków. Ta część gmachu była szeroka, lecz niska, zaledwie trzy piętra pomalowane na biało. Ogromne okna, szczelnie zasłonięte żaluzjami, nie przykuwały uwagi przechodniów, za to zwracały uwagę starucha, który – jakby wyrwany z głębokiego snu – odrywał się od muru, odwracał gwałtownie ciało, następnie wykonywał trzy długie kroki w bok, wreszcie opierał głowę o pierwszą z brzegu szybę i trwał tak przez kilka, może kilkanaście sekund.

Wtedy najczęściej go potrącali. Był na wąskim chodniku przeszkodą. Wygrażał pięściami, prostował przygarbione plecy i machał rozpaczliwie ramionami jak ranny ptak. Ludzie byli niecierpliwi, najczęściej nie zwracali uwagi na te ataki wściekłości i tylko z rzadka ktoś przystanął, obrócił głowę zdziwiony. Staruch szybko się uspokajał, jego ręce opadały wzdłuż tułowia i wolnym krokiem wracał na swoje miejsce. Za szybami nie było przecież niczego, czego choć raz w życiu by nie widział. Poczekalnie z żelaznymi obramowaniami krzeseł o drewnianych oparciach, stojące w rzędzie. Wnętrza nijakich jasnych pokoi, pełne leżących pacjentów w każdym wieku, dla których bez znaczenia jest, czy z ich twarzy spływa uśmiech czy łzy, skoro wzrok i tak ślizga się od ściany do ściany, złapany w pułapkę. Lekarze na zmianę z pielęgniarkami sunęli automatycznie z pomieszczenia do pomieszczenia, niczym nakręcane zabawki. Na mnie wrażenie robiły obrotowe drzwi, przez które z dzikim wrzaskiem uwielbiały przebiegać dzieciaki. Karuzela kręciła się nieustannie, zasysała ludzkie mrowie i wypluwała je, zasysała i wypluwała. Była nagrodą za nużące oczekiwanie, za odwiedzinę, często wbrew woli.

Nie widziałam, żeby staruch choć raz wszedł do środka. Nie wiem, czy się bał, czy nawet nie brał tego pod uwagę. W wietrzne dni wyglądał jak

nietoperz, ubrany w przynajmniej o dwa rozmiary za wielki czarny prochowiec, którego tył i rękawy śmiesznie nadymały się powietrzem. Szare spodnie o szerokich i długich nogawkach niemal całkowicie zakrywały buty. Bywało, że wypluwał niekończące się serie śliny, raz po raz. Wyobrażałam sobie odgłos tarcia materiału o twardy bruk. Wyobrażałam sobie szybkie, krótkie oddechy starucha i dźwięk plwociny spadającej na ziemię.

Miał rzadkie siwe włosy sięgające ramion. Od czasu do czasu drapał się po głowie, a następnie uderzał otwartą dłoń w sam jej czubek. Zdarzało się też, że podnosił prawą nogę i wykonywał kilka nieskoordynowanych ruchów; wtedy na moment wyłaniał się spod nogawki ciemny, wysoki i ciężki but o grubej podeszwie. Staruch rozpędzał się w tym tańcu. Kręcił tułowiem bez ładu i składu – na prawo, na lewo, pełen obrót! Oj, dana, dana! Hopsasa!

Wyglądał, jakby był sam na świecie. Próbowалам złapać moment, w którym znikał na noc. Dokąd odchodził? Którędy uciekał tak szybko? Nie wiem. Za każdym razem, gdy księżyc stał już wysoko na niebie, a ja tylko na chwilę odeszłam od okna, ba, czasem nawet na sekundę odwróciłam wzrok, starucha już nie było. Wczesnym rankiem znów sterczał oparty o mur w swoim znoszonym ubraniu.

Opowiadałam czasem o staruchu komuś bliskiemu. Przyciskałam telefon mocno do policzka, lubiłam, gdy zostawiał na ciele ślad po długiej rozmowie. Mówiłam im, że staruch znów tańczy i pluje, ale nie słuchali. Zwyczajnie nie wierzyli, żeby z tego swojego miejsca widziała wszystko z taką dokładnością. Wołałam jeszcze głośniej, że staruch ma coraz luźniejsze buty i niedługo spadną, a następnie poturlają się prosto na ulicę. Wówczas po drugiej stronie słuchawki robiło się cicho. Miałam sokoli

wzrok i żadne, nawet najgłębsze milczenie nie mogło tego zniszczyć. Doskonale go widziałam.

Tak przynajmniej było do wczoraj, bo dzisiejszy mglisty poranek zasłaniał budynek po sam dach. Czekałam niecierpliwie, aż mgła opadnie, aż odkryje przede mną tę znajomą sylwetkę. I opadła. Wczesnym popołudniem słońce mocno już grzało i oświeślało okolicę, ale mur pozostał pusty. Staruch przepadł. Z godziny na godzinę rodziła się we mnie pewność, że nie pojawi się ani tego, ani następnego dnia, i że tylko ja jedna będę tęsknić za nim, przylepiona do okiennej szyby w izolatce na dwunastym piętrze głównego szpitalnego budynku.

MOSTAR

Wjechaliśmy do Mostaru późnym wieczorem, a temperatura i tak sięgała blisko trzydziestu stopni. Marzyłam o zimnym prysznicu i chłodnym pokoju, w którym sen nie każe na siebie czekać. Celowo nie patrzyłam przez szybę, gdy auto mozolnie parło do przodu w drodze do małego hoteliku położonego na jednym z okolicznych wzgórz. Nie chciałam widzieć miasta, będąc w stanie skrajnego zmęczenia, ani oceniać go z pozycji brudnego, spoconego i znużonego długą trasą turysty. Zdarza się czasem, że nawet najpiękniejsze miejsce nie potrafi zatrzeć tego niesprawiedliwego pierwszego wrażenia. Coś w człowieku zostaje, jakaś głupia złość. Dlatego z uporem wlepiłam wzrok w jasne, krótko ostrzyżone włosy męża, który po tylu godzinach jazdy nadal pewnie trzymał kierownicę i tylko od czasu do czasu odginał głowę do tyłu i prostował zmęczony kark.

Uliczka, przy której mieścił się budynek, była tak stroma i wąska, że z trudem udało nam się zaparkować i otworzyć drzwi samochodu. Nasze stare i wysłużone wprawdzie, ale małe i zgrabne auto było wprost stworzone do tej ciasnoty, do tych murów spadających na siebie, odgrodzonych jedynie tarasami i niewielkimi ogródkami.

Nie mieliśmy dużo bagażu. Nasza podróż nigdy nie była trwaniem w jednym miejscu, lecz przemieszczaniem się. Rzeczy niezbędne, okrojone do minimum, pakowaliśmy do niewielkiej torby i trzech małych podręcznych plecaków. Zdarzało się, że przez dwa tygodnie podróży prawie każdą noc witaliśmy pod innym adresem. W ten sposób oszczędzaliśmy czas na wyciąganie i ponowne wkładanie rzeczy, a także poszerzaliśmy

naszą przestrzeń. Była potrzebna, zwłaszcza tutaj, w ciasnym do granic pokoiku, gdzie dwuosobowe łóżko oraz dodatkowy materac na podłodze wypełniały całe lokum. Plecaki szybko poszły w kąt, duchota pokoju obezwładniała.

Mąż i syn zasnęli niemal natychmiast, dwóch dorosłych mężczyzn oddychało równo, zupełnie jakby szli razem w nocnym marszu. Ja zapadłam w letarg. Co kilka minut to odrywałam głowę od spoconej poduszki, to znów na nią opadałam. Rzadko sypiałam dobrze, zwłaszcza w nowych miejscach. Ten ciasny pokój, ostateczny cel naszej wyprawy, zdążył już złapać w ściany nieznany mu zapach naszych ciał i mieszać go z własną wilgotną wonią starego domu.

Ruszyliśmy z miasta rodzinnego w południowej Polsce kilka dni wcześniej. Mknęliśmy przez Słowację, gdzie góry i niewielkie, ale jakże spektakularne ruiny zamków, często położone na skałach, niezmiennie zapierały dech w piersiach. Naszym pierwszym ważnym punktem na odpoczynek miał być Balaton. To nigdy nam nie po drodze największe jezioro Europy Środkowej, o którym tyle słyszeliśmy z ust rodziców, wreszcie się zmaterializowało. Matka z ojcem spędzali tam w latach siedemdziesiątych niemal każde lato. Cała ich licealna i studencka młodość kąpała się w zimnych wodach i wygrzewała na gorących piaskach. Dziś myślę sobie, że ani moi bracia, ani ja nie słuchaliśmy uważnie tych opowieści, dlatego zostały mi w pamięci tylko kontury i urywane zdania. Być może nie mieściło nam się w głowach, że nasz ojciec też mógł być dojrzewającym chłopcem, a matka młodą dziewczyną, która odbywała podróż dalszą niż spacer z kuchni do pokoju, na podwórko czy do parku miejskiego. Świat mojego dzieciństwa był geograficznie małym, jednostajnym punktem, a mimo wszystko chyba nigdy w późniejszym życiu nie zaznałam tak szerokich horyzontów jak wówczas.

Punkt widokowy, usytuowany na niewielkim wzgórzu z kilkoma ławkami i równo ostrzyżonym trawnikiem, ukazywał jezioro w całym jego majestacie. Przewodnik krzyczał głośno, że to najlepsze miejsce, jeśli akurat nie masz czasu na nic więcej, i chyba tak właśnie było. Siedzieliśmy na ławce, jedliśmy chleb z żółtym serem i ogórkiem, który pokrojony obficie miał nadać kanapce utraconą soczystość, ale żując i tak miałam wrażenie, że jest sucha jak wiór. Patrzyliśmy na tę wielką wodę, na której brzegach od wielu lat kwitło turystyczne życie, ale wcale nie czułam, że jestem bliżej rodziców, ogarniało mnie wręcz jeszcze większe poczucie absurdu. Oni mieliby dotrzeć aż tutaj? W połowie lat siedemdziesiątych tłukli się zapewne autokarem przez niebotyczną liczbę godzin, a potem wsiedli w swojego pierwszego malucha, zapchanego po sam dach bagażami, który sunął wolno po kiepskich drogach. Cóż, przyjmuję to jako prawdę. Zresztą kto wie, może znowu ich spytam, zwłaszcza teraz, gdy na słuchanie dawnych opowieści mam dużo więcej czasu i dorosłej już ciekawości.

Tymczasem co mogę odgadnąć samotnie? Jestem pewna, że w upalne wieczory rozkładali koce na trawie w najbardziej odludnych miejscach, patrzyli na przejrzyste niebo, liczyli spadające gwiazdy, kochali się namiętnie i zasypiali dopiero nad ranem. Za to w deszczowe dni, gdy namiot niemiłosiernie przeciekał, zamykali się w samochodzie i skuleni jak psy zapadali w urywany sen. W ciągu dnia kąpali się niemal bez przerwy, praktycznie nie wychodzili z wody, a słońce tak prażyło, że wyglądali jak upieczone raki. Jedli byle co, nie słuchali siebie nawzajem i śmiali się głośno, bez zahamowań. Czasem nocą niecichnąca muzyka z rozłożonych gęsto pól namiotowych podnosiła ich ciała do tańca. Tańczyli więc, wyginali biodra na boki, upadali, podnosili się, wirowali jak szaleńcy. Niczego się nie bali. Byli nieśmiertelni.

Ławka, na której siedzieliśmy z mężem i synem przynajmniej czterdzieści pięć lat później, była całkiem nowa. Ogarnęła mnie dziwna pewność, że z tego miejsca nikt nigdy na nich nie patrzył. Zresztą z góry i tak najczęściej widzimy tylko całość, rzadko oglądamy pojedyncze rzeczy. Rzadko. Na szczęście. Ja, kończąc z wielkim trudem suchą kanapkę, myślałam powoli o zbliżającym się noclegu w odległej jeszcze Banja Luce, pierwszym mieście Bośni i Hercegowiny, kraju, który od dłuższego czasu był naszym wymarzonym celem podróży.

Lekarz właśnie wyszedł. Zostawił za sobą trudne słowa, których mój umysł nie rozumie jeszcze, nie wchłania. Na razie są mi równie obce i nierealne jak wszystko tutaj.

– Początek jest najtrudniejszy. – Słyszę z ust pielęgniarki, której ciepłe spojrzenie zatrzymuje się na mnie w trakcie podawania kroplówki.

Patrzymy na siebie, uśmiecham się. Nic mnie jeszcze nie boli, krwotoki zmniejszyły się, a siniaki na rękach można zakryć rękawami ciepłego swetra. Czuję, że mogłabym stąd wyjść w każdej chwili. Absolutnie nikt nie zwróciłby na mnie uwagi. W końcu ratowanie życia odbywa się także poza murami szpitali, nie jestem wyjątkowa. Jedyne, co czuję inaczej i dużo bardziej intensywnie, to metaliczny zapach skóry. Jakby wlewano we mnie całe oceany chemikaliów, które nie mieszczą się już i wychodzą na zewnątrz każdym porem. To nic. Chłodny październikowy wiatr zetrze ostatnie ślady mojego naznaczenia. Nie ma na tym świecie siły, która zatrzymałaby człowieka w jednym miejscu na długi czas. Leżę godzinami na twardym łóżku, patrzę w sufit i jestem o tym przekonana.

Drzwi do mojej izolatki są podwójne. Pierwsze, ciężkie i masywne, otwierają się na mały kwadratowy przedsionek, służę, w której

umieszczone są fartuchy, umywalka, dozownik z mydłem, środki dezynfekcyjne i pojemniki na zużyte ubrania. Czasem, gdy ktoś uchyli je choćby tylko na sekundę, gwar z korytarza wdziera się natychmiast i burzy ciszę, tę pełną niepokoju ciszę, która wypełnia pomieszczenie oddzielone drugimi, szklanymi drzwiami. One już prowadzą prosto do mnie. Spojrzenie pielęgniarki gdzieś umyka, ja też odwracam głowę. Dopóki mogę ukryć rozpacz, mogę też uciec.

Celnik na granicy z Chorwacją okazał się wyjątkowo skrupulatny. Mam wrażenie, że dokumenty, których zażądał, nigdy nie istniały. Mąż bardzo spokojnie i sprawnie podawał mu jeden za drugim. Pamiętam tylko młodą, grubą, opaloną twarz z długimi ciemnymi wąsami i krótkie ręce o pulchnych dłoniach, które miały papier nieskończenie długo. Puszczono nas wreszcie i mogliśmy z ulgą oddać się dalszej podróży, zwłaszcza że czekały na nas pomniki architektów i rzeźbiarzy słusznie minionej epoki.

Te w większości ogromne, brutalistyczne konstrukcje, wykonane z betonu, były symbolem jedności bałkańskiego kraju. Nie przepadałam za nimi i absolutnie nie czułam potrzeby oglądania tej brzydoty, tego komunistycznego rozmachu w tworzeniu, nawet jeśli cel ich powstania był nadrzędny i upamiętniał poległych partyzantów. *Kamienny kwiat*, rzeźba wysoka na dwadzieścia cztery metry i szeroka na trzydzieści pięć, stała na wielkim, rozległym polu. W oddali majaczyły wzgórza i lasy, a przy samym obiekcie mieniła się w upalnym słońcu tafla niewielkiego stawu. Podeszliśmy bardzo blisko. Betonowe płatki kwiatu, zwrócone niemal pionowo ku niebu, opowiadały historię, którą teraz w pośpiechu, bo czas kurczył się niemiłosiernie, czytał syn, stojąc w cieniu monumentu.

– Rzeźba została wzniesiona ku pamięci setek tysięcy ofiar niemieckiego obozu zagłady w Jasenovac... Pod pomnikiem znajduje się krypta zbudowana z pokładów kolejowych i szyn, którymi dostarczano niegdyś więźniów... Budowla zaprojektowana przez Bogdana Bogdanovicia była wielokrotnie dewastowana... – Przerywał czasem, przesuwał palcem po ekranie, a potem czytał dalej z uwagą: – Budowa trwała prawie pięć lat, pomnik odsłonięto ostatecznie w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym szóstym roku...

Mąż, pochłonięty robieniem zdjęć, kiwał nieznacznie głową. Znał tę opowieść na pamięć. To on zakochał się w brutalizmie i chyba powoli zarażał nim syna. Zaczęło się przypadkiem w Kiszyniowie, kilka lat wcześniej, gdy zwiedzając stolicę Mołdawii i do dziś nieuznawane przez żadne państwo na świecie Naddniestrze, trudno było o inne architektoniczne perełki, zwłaszcza że przemierzaliśmy tę samowolną republikę w środku srogiej zimy. Nie czuliśmy nóg, biegając od jednego monumentu do drugiego. Ten dziwaczny klimat całkiem męża pochłonał. Ja byłam po prostu towarzyszką, która patrzyła na coś do zapomnienia, ale też bez całkowitej ignorancji. Na to zawsze był czas. W tamtej chwili zajmowały mnie drobne żarty i złośliwości, niegroźne i potrzebne w naszym pełnym miłości, tak różnym charakterologicznie związku.

Syn zwiedzał z nami Europę, odkąd skończył osiem lat. Widział więcej niż większość dorosłych zobaczy przez całe swoje życie. Był chłopcem idealnym do podróży. Grzecznym, dobrym, pokornym, nie miał w sobie tej kapryśności tak charakterystycznej dzieciom, które poddane częstemu przemieszczaniu się próbują w ten histeryczny sposób ucześcić się na dłużej choćby jednego punktu. Pokazywanie synowi świata było często pretekstem do osiągania własnych celów i marzeń. Czy da się inaczej? Czy wolno zabrać ze sobą człowieka, który nic nie może poradzić na ciągłe pakowanie

plecaków? Czy to humanitarne nie pytać, jak bardzo jest zmęczony, lecz brnąć uparcie przez lodowate ulice Tyraspolu, tego socjalistycznego miasta bez przyszłości? Nie wiem. Dla nas to była miłość. To był czas dany ukochanemu dziecku. Zresztą myślę sobie, że nieuchronność pustego gniazda towarzyszy nam rodzicom od poczęcia, więc wypełniamy najlepiej jak potrafimy ten czas pomiędzy. My nie umieliśmy i nie chcieliśmy inaczej. Dlatego nie bez wzruszenia patrzyłam później na tego pięknego, mądrego dziewiętnastoletniego już mężczyznę, który być może w jednej z ostatnich wspólnych podróży czytał nam fragment historycznego upadku, oparty o zimną betonową konstrukcję.

Potężna pizza z podwójnym serem i szynką, pochłaniana w malutkiej knajpce tuż pod oknami hostelu, była nagrodą za niemal piętnastogodzinną podróż. Nie mogę przypomnieć sobie jej smaku, pamiętam tylko, że wypełniała sobą cały stół. Odrywaliśmy łąpczywie kawałek po kawałku i żarliśmy jak wygłodniałe lwy. Nareszcie byliśmy w Banja Luce. Malutka granica łącząca Chorwację z Bośnią i Hercegowiną przyjęła nas jak dobrych znajomych. Przepłynęliśmy cichutko, popychani szczerym uśmiechem starego celnika. Po nieprzyzwoitym obżarstwie potrzebny był nam tylko sen, bo już z samego rana ruszaliśmy do Sarajewa.

Wybiła szósta. Pobudka. Termometr, przyczepiony byle jak za oknem hostelowej kuchni, pokazywał dwadzieścia jeden stopni. Wymarzona temperatura do jazdy samochodem. Czerstwe już bułki posmarowaliśmy pasztetem. To była końcówka spożywczych zapasów z Polski. Gdzieś po drodze czekały nas zakupy. Na szczęście mocna, aromatyczna kawa budziła do życia. Odrywając się od miejskich zabudowań, zostawiliśmy za sobą Banja Lukę, którą, mówiąc uczciwie, tylko przebiegliśmy galopem. Zresztą za każdym razem z tak szczupłym portfelem jak nasz musieliśmy

dokonywać wyboru z cyklu coś za coś, niejednokrotnie nie poświęcając wystarczającej uwagi wielu ciekawym miejscom.

Dalsza część książki dostępna w wersji pełnej

UGRYZIENIE

Dostępne w wersji pełnej

NORWEGIA

Dostępne w wersji pełnej

KAPRYSY

Dostępne w wersji pełnej

PARYŻ

Dostępne w wersji pełnej

OCZY

Dostępne w wersji pełnej

FLORENCJA

Dostępne w wersji pełnej

ŚLADY

Dostępne w wersji pełnej

CABO DA ROCA

Dostępne w wersji pełnej

PUZZLE

Dostępne w wersji pełnej

KOLUMBIA

Dostępne w wersji pełnej

SPIS TREŚCI

1. [Okładka](#)
2. [Karta tytułowa: Natalia Szyszkowska, Dwunaste piętro](#)
3. [Karta redakcyjna](#)
4. [Mostar](#)
5. [Ugryzienie](#)
6. [Norwegia](#)
7. [Kaprysy](#)
8. [Paryż](#)
9. [Oczy](#)
10. [Florencja](#)
11. [Ślady](#)
12. [Cabo da Roca](#)
13. [Puzzle](#)
14. [Kolumbia](#)